GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata:
W Galicyi: rocznie 5 zł. 20 ct.
półrocznie 2 „ 60 „
kwartalnie 1 „ 30 ct.
Za granicą: do Niemiec 11 mar.
Francyi, Włoch, Turcyi 14 fran.
Ameryki . . . . 3 dol.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM

ORGAN DUCHOWIEŃSTWA.

Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya plac Kapitulny 1. 3. I piętro.

Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.

Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

Rok IV. We Lwowie dnia 12. listopada 1896. Nr. 45.

Cerkiew schizmatycka
we Lwowie.

Przed trzystu laty, kiedy na synodzie w Brześciu metropolita ruski Rahoza z pięciu władykami: Pociejem, Terleckim, Zagórskim, Zbirujskim i Hohołem, w obecności trzech łacińskich biskupów: Solikowskiego, Maciejowskiego i Gomolickiego, ogłaszał uroczyście akt Unii św., zawartej w Rzymie z papieżem Klemensem VIII., wtedy zborzysko, złożone z dwóch władyków. Bałabana i Kopysteńskiego, pod wodzą ks. Ostrogskiego i tureckiego szpiega, Nicefora, ogłaszało protest i dalsze trwanie schizmy. W tym zaś roku, kiedy Rusini obchodzili we Lwowie rocznicę 300-letnią Unii brzeskiej, stało się coś podobnego, chociaż na daleko mniejszą skalę, bo wyszła — niewielka zresztą — broszura, która ogłasza światu, że we Lwowie istnieje gmina schizmatycka i że niebawem zbuduje sobie wspaniałą cerkiew. O istnieniu takiej gminy nie wiedzieli może nawet wszyscy mieszkańcy Lwowa; dziejopisarze kościelni najnowsi, jak Pełesz, nawet słowem o niej nie wspominają: mamy więc przyczynek ciekawy do dziejów tej cichej i skrytej roboty, która potrafiła przetrwać wieki, a dzisiaj właśnie podnosi głowę. Publikacya więc, o której mamy mówić, z wielu względów [1]) zasługuje na uwagę.

Najpierw dowiadujemy się, że autor, hieromonach Worobkiewicz, jest nietylko pasterzem na cały Lwów, ale i na całą Galicyę. Jak na proboszcza, miałby więc zakres działania duży — większy, niż metropolita, gdyby nie to, o czem jeszcze pomówimy, że cała to jego parafia, czy dyecezya jest tylko — *magni nominis umbra.* W hierarchicznej organizacyi podlega p. W. zwierzchnictwu schizmatyckiego biskupa Bukowiny i Dalmacyi, rezydującego w Czerniowcach, któremu nie żałuje tytulatury, bo go Eminencyą — aż na czterech miejscach — mianuje. Prawda, że tak się zwykle tytułuje kardynałów św. rz. Kościoła, ale p. W. trzyma się widocznie zasady Goethego: *nur die Lumpen sind bescheiden.* Tendencya jest zresztą przytem namacalna: mają teraz unici Eminencyę — dlaczegożby schizmatycy mieli być gorsi! P. W. gniewa się wprawdzie o to, że ich nazywamy schizmatykami (str. 15), ale na to niema rady, bo tak czyni cały świat — i to od czasu, gdy Focyusz świętą jedność kościelną zerwał. Zwyczaj jest tyranem, mówi łacińskie przysłowie, a sam p. W. wyłamać się z pod jego panowania nie może i używa nazwy: „papież", chociaż wedle jego zapatrywania (str. 19) biskupowi rzymskiemu należy się tylko tytuł „arcybiskupa i prymasa Włoch". Możemy zapewnić p. W., że o jego zapatrywanie w tej mierze nikogo głowa nie boli, a już najmniej samego papieża.

To pewna, że p. W. nie żałował sobie papieru, żeby broszurkę grubszą uczynić, bo aż cztery strony poświęcił dedykacyom i przedmowom. Dwa razy zwraca się w dedykacyi do „Jego Eminencyi Czuperkowicza", trzecią stronę zajmuje przedmowa, a na czwartej apostrofuje jeszcze raz „P. T. czytelników" i przeprasza ich, że musi nieco dalej wstecz sięgnąć do przeszłości. Rzecz sama zaczyna się więc od 9-tej strony i podzielona jest na 3 części. W pierwszej (str. 9—30) jest historya Cerkwi ruskiej opowiedziana aż do rozbioru Polski; w drugiej (str. 30—45) podane są stuletnie dzieje gminy lwowskiej schizmatyckiej, a w trzeciej wreszcie (str. 46—67) kreśli autor jej obecne stosunki i swoje zabiegi, uwieńczone nadzieją, że w tym roku już kamień węgielny pod nową cerkiew zostanie położony.

Łatwo zrozumie każdy, że p. W. patrzy na dzieje Kościoła ruskiego przez inne szkła, niż katoliccy historycy, że więc nazywa czarnem to, co u nich jest białe. Polemizować z jego wywodami, znaczyłoby chyba napisać całą książkę. Toby zaś było za wiele i pracy i honoru — dla p. W., bo przecie na seryo za historyka nikt go brać nie może. Ograniczymy się więc tylko do niektórych uwag ogólniejszego znaczenia, a najpierw zaczniemy od kwestyi, dosyć ważnej zdaniem naszem, t. j. od nazwy, którą p. W. obdarza Rusinów, zowiąc ich *Kleinrussen* w odróżnieniu od *Grossrussen* t. j. Moskali, czyli Rosyan. P. W. mówi też o *grossrussische* i *kleinrussische Sprache* (str. 50), a nawet nie robi całkiem różnicy, bo (str. 30) mówi o pewnym rękopisie, że pisany jest w *russische Sprache* i wcale nie dodaje ani *klein*, ani *gross*.

Przyznajemy, że p. W. tego sposobu rozróżniania *Kleinrussen* i *Grossrussen* nie wynalazł, bo to samo czyni *Pełesz* (Gesch. der Union I. 247). Wedle niego poczęła się ta nazwa w połowie XIII. wieku (1250) kiedy kniaziowie suzdalscy przybrali tytuł wielkich kniaziów; że dzierżawy ich były wielkie, przeto powstała nazwa *Grossrussland* i *Grossrussen*, podczas gdy zachodnia część Rusi, nad którą panowali kniaziowie Halicza, poczęła się nazywać *Kleinrussland.* Jest to fałsz historyczny, który łatwo zbić tem, że najpierw nazwą Małorusi oznaczano zawsze tylko województwa: kijowskie i bracławskie; powtóre zaś, Ruś dzieliła się na Białą (Połockie, Smoleńskie,

---

[1]) „Die orthodox-orientalische Kirche in Lemberg und ihre Gemeinde in Lemberg und ganz Galizien. Ein historisches Gedenkbüchlein anlasslich der nahebevorstehenden Grundsteinlegung unter die neuzuerbauende orth. or. Kirche in Lemberg. Verfasst vom Hieromonachen Emanuel Eugen Worobkiewicz, orth. or. Seelsorger in Lemberg. Der Reinertrag aus dem Verkaufe vorliegender Broschüre wird zur Verschönerung der neuen Kirche im Inneren verwendet werden. Lemberg 1896. Im Verlag der Stauropigianischen Buchhandlung in Lemberg. Russische Gasse Nr. 3. Preis eines Exemplares 60 kr. ö W."

Witebskie), Czarną (Pińsk, Polesie), Czerwoną i Małą, ale nigdy i nigdzie w historyi Małorusią się nie nazywała. I to także jest nieprawda, że już w XIII. wieku zachodzi nazwa *Grossrussen*, bo sam *Pełesz* opowiada (*l. c.* I. 351), że dopiero zięć chana tatarskiego, kniaź moskiewski Jerzy, został przez tegoż mianowany r. 1319 naczelnym kniaziem nad kniaziami Suzdalu, Tweru i Rezania, a chociaż tenże zdrajca został w oczach chana zabity przez kniazia Tweru, to jednak syn jego, Jan Kalita, który na usługach chana cały Suzdal spustoszył, został przez chana (r. 1328) wielkim kniaziem mianowany. Jednakże dopiero pod koniec XV. wieku mogłaby być mowa o jednem wielkiem księstwie, gdy zadnieprskie księstwa już zawojowane i podbite zostały i kniaź moskiewski Iwan III. Wasilewicz († 1505) począł się tytułować: „hosudar wsieja Rossyi". (Połnoje Sobranie rusk. Lietopis. I. 30). Wszelako ta nazwa (o której mówi Pełesz) *Grossrussland* była całkiem nieznana w Europie aż do XVII. wieku, a natomiast powszechnie używana była nazwa Moskali (Moschi, Moscovitae). Jeszcze w XVIII. wieku tytułował się poseł Piotra W. w Paryżu „moskiewskim", a nie rosyjskim. Dopiero też po raz pierwszy w pokoju nejstadzkim (1721) wymógł Piotr W. na Szwecyi uznanie tytułu „cara wszech Rosyi". Polska uznała ten tytuł ostatnia na sejmie konwokacyjnym 1764, przyczem jednak posłowie Katarzyny dali zapewnienie, że tytuł ten nie odnosi się do Rusi. Dzisiaj już nazwa Moskali uchodzi za obrazę, a poeci tamtejsi śpiewali nienapróżno o „świętej Rusi", bo widzimy, że i Rusini nazywają się *Russen*, a nie *Ruthenen*, jak zawsze bywało i jak Pełesz jeszcze przeważnie ich nazywa w swojej *Geschichte der Union der ruthenischen Kirche mit Rom.*

Mógłby nam może kto zarzucić, że wszczynamy *nominis proelium*, mówiąc słowy Tertuliana; ale pomijając polityczną tendencyą, ma to przekręcanie nazwy dla studyów historycznych wielkie znaczenie. Wszyscy bowiem historycy niemieccy, którzy o dziejach Kościoła na Rusi pisali, jak: Strahl, Schmitt, Theiner, Gfrörer, Hurter, Hefele, Pichler, biorąc za jedno: *Russen* i *Ruthenen* t. j. nieodróżniając Moskali od Rusinów, obracają się w błędnem kole i popadają w najdziwaczniejsze sprzeczności. Mówić więc o Rusinach i Moskalach jako o jednym narodzie, *von dem gesammten Russenvolke*, jak to czyni p. W. (str. 11), znaczy przekręcać i fałszować historyą.

Sam bowiem p. W. mówi o tem (str. 10—11), że Ruś zamieszkiwali Słowianie, o jednem tylko nie wspomina, że granica wschodnia siedzib Słowiańskich sięgała tak daleko, jak to wspomina już Herodot, (IV. 18), na którego się sam powołuje, t. j. aż do Dniepru i jedenaście dni drogi na północ po za lewym jego brzegiem. Natomiast te ziemie, na których za Dnieprem założyli Rurykowicze księstwa, były i są do dziś dnia zamieszkiwane przez ludy fińskie i turańskie, które wymienia *Nestor* (Mon. Pol. hist. I. 557): „a te są narody obce, które płacą dań Rusi: Czudy, Wesy, Meranie, Muromcy, Mordwini, Permianie, Peczercy, Jamianie, Litwini, Zimigołcy, Kurowie, Norowianie, Liwońcy. Ci mają swój język, są pokolenia Jafetowego i żyją w stronach północnych". Ludy te mówią jeszcze po dzis dzień swoimi językami, chociaż się po rosyjsku nauczyły. Podbój ich rozpoczął się w XII. wieku, kiedy Włodzimirz Monomach założył Włodzimierz nad Klazmą (1114), a Jerzy Dołhoruki założył Moskwę (1147) we widłach rzeki tegoż imienia. Gorliwość tegoż kniazia, jak powiada *Sołowiew* (Czt. imper. Obszcz. istor. i drewnost. 1846. I. 6) „obrusiła" wielki kraj fiński od Oki aż do Wołgi i dalej po za Wołgę aż da Białego Jeziora. To „obrusienie" posuwało się z wiekami coraz dalej, ale nikt jeszcze dotąd nie wierzy, żeby te ludy turańskie i fińskie mimo „obrusienia" były rodem i pochodzeniem pokrewne Rusinom. Jeśliby jednak niektórzy z Rusinów koniecznie to sobie chcieli poczytywać za honor i zaszczyt, to my z naszej strony do zazdrości nie mamy powodu.

Po tem, cośmy dotąd powiedzieli, nie potrzebujemy zapewne dodawać, że p. W. jest dla nas Polaków wrogo usposobiony. Dlatego też mówiąc o zajęciu Rusi południowej przez Kazimirza W. (str. 13—14), powiada, że nastały dla niej ciężkie czasy, gdyż „inaczej mówiący i do innego obrządku należący panowie rządzić poczęli". Tem gorzej, że „szlachta uciekła do polskiego obozu", a chłop stał się *Generalsklave* polskiego państwa. Pan W. jest Bukowińczyk, więc historyi Rusi znać dobrze nie może, inaczej wiedziałby, że z panowaniem polskiem nastały właśnie złote czasy dla ludu na Rusi. Wiadoma przecie rzecz, że liczba kniaziów ruskich dochodziła trzydziestu, że toczyli między sobą nieustanne bratobójcze walki, przyczem biedny chłop jęczał w niewoli i obdzierany był do ostatniej nitki. Polska przynosiła mu zatem pokój i obronę prawną przed swywolą kniaziów i bojarów. Przecie p. W. coś musiał słyszeć o statucie Kaźmirza W. i o tem, że go niedaremnie „królem chłopów" zwano. Prawda, że u nas poczęto następnie od XV. wieku uchwalać ustawy, zmierzające do coraz większego wyzyskiwania chłopa, ale szlachta polska brała do tego asumpt stąd właśnie, że chłop na Rusi był ongi w srogiej niewoli, nim go Polska z niej wybawiła.

Czyni też p. W. zarzut Kaźmirzowi W., że skoro tylko ujął w „żelazną rękę" rządy nad Rusią, rozpoczął zaraz gnębienie prawosławia, które aż dotąd miało „złoty okres" dziejów swoich. To gnębienie zaś polegało na zniesieniu metropolii halickiej a zakładaniu biskupstw łacińskich, które dotowano dobrami biskupstw ruskich (str. 14—15). Szkoda, że p W. lepiej się nie przygotował do swojej pracy. Toć w każdym podręczniku historyi Kościoła na Rusi mógł znaleść, że Kazimirz W. zastał cerkiew na Rusi w stanie po prostu rozpaczliwym. Co się tyczy zniesienia metropolii halickiej, to przecie wszyscy wiedzą, że to zrobił cesarz carogrodzki Jan Kantakuzen t. zw. złotą bulą r. 1347, a więc nim jeszcze „żelazna ręka" Kaźmirza nad Rusią zapanowała. Uczynił to zaś cesarz na życzenie i za pieniądze kniazia moskiewskiego Szymona Pysznego, który tego chciał, aby metropolita moskiewski sam władał nad Kościołem w moskiewskiem księstwie i na Rusi. Znany też jest powszechnie list Kaźmirza W., po grecku pisany do patryarchy carogrodzkiego Filoteosa (1370), w którym domaga się metropolity dla Halicza (Przemyśla, Chełmu i Łucka), a zarazem dodaje kategorycznie, że jeśli jego prośbie nie stanie się zadość: „wtedy nie gniewajcie się na nas, że wyniknie stąd smutna konieczność ochrzczenia Rusinów na wiarę łacinników, ponieważ na Rusi niema metropolity, a kraj bez zakonu istnieć nie może". (Acta. Patr. Constantinop. ed. Miklosisch. Vindob. 1860, I. 572). Patryarcha pospieszył się i ustanowił w Haliczu metropolitę, chociaż kniaź moskiewski Dymitr Doński srodze mu o to wymówki czynił.

Czy to się nazywa gnębieniem, jeśli się kto stara o pasterza dla ludu? P. W. jest widocznie innego zdania, bo zakładanie biskupstw łacińskich na Rusi poczytuje za krzywdę prawosławia, a to dlatego, że na Rusi Polaków wcale nie było (str. 14).

Potrąciliśmy tu o kwestyą naszego bytu, a więc zatrzymamy się nieco dłużej. P. W. widocznie tak samo myśli, jak n. p. pewien poseł ruski, który 16. października 1889 powiedział nam w sejmie lwowskim ten piękny komplement: „nie chcemy was w tym kraju, wy cudzy ludzie jesteście". Otóż my nie „czużyj lude" tutaj na Czerwonej Rusi, bośmy ją od wieków zasiedzieli. Nie kto inny, tylko kronikarz ruski *Nestor* wywodzi nasz ród w tych słowach: „Słowianie owi przyszedłszy, siedli nad Wisłą i przezwali się Lechami, a od tych Lechów przezwali się jedni Polanami; drudzy Lechowie Łutyczanami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami. Tak samo ciż Słowianie przyszedłszy, siedli nad Dnieprem i nazwali się Polanami. Od nich są Polanie w Kijowie po dziśdzień". (Mon. Pol. hist. I. 553). Opowiedziawszy zaś o zawładnięciu tych ziem przez Warego-Rusów, dodaje: „i tak Ruś owładnęli polską ziemię" (*l. c.* p. 565). O tem, że Ruś Czerwona była zamieszkała przez Lachów, świadczy także Nestor, gdy mówi: „lata 6489 szedł Włodzimirz do Lachów i zajął grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne grody, które są i podziśdzień pod Rusią" (*l. c.* p. 624). Nie kto inny też, tylko uczony ruski historyk, ks. Petruszewicz, dowodzi tego, że na Rusi Czerwonej był obrządek łaciński rozszerzony, nim ją Włodzimierz zajął. (Krótka hist wiadomość o zaprowadzeniu chrześć. w okolicach Podkarpackich. Lwów 1882). Nic przeto dziwnego, że i ludność polska i łaciński obrządek przetrwały tu wieki i że ślady biskupstw łacińskich sięgają tu dawnych czasów, a więc nim jeszcze „żelazna ręka" Kaźmirza W. rządy tutaj objęła. „Zdo-

bycze pługa polskiego", o których tak pięknie pisał Szajnocha, a w ostatnich czasach Prochaska i Likowski (o czem doskonała wzmianka była w Nr. 42 *Gazety Kościelnej)*; prace apostolskie naszych zakonników, mianowicie Dominikanów i Franciszkanów, którzy krwią i znojem torowali drogę chrześcijaństwu na Litwę: oto są dzieje szerzenia łacińskiego obrządku na Rusi. Pełesz (Gesch. I. 412) twierdzi wprawdzie, że kolonizacya polska na Rusi rozpoczęła się dopiero w XIV. wieku, a mianowicie w czasie 3-letniego panowania Bolesława Trojdenowicza w Haliczu (1337—1340), ale ludność polska musiała tu być liczna, skoro sam chwali kniaziów Rusi, że *po wszystkie czasy* tolerowali religią katolicką, pozwalali na zakładanie kościołów i klasztorów łacińskich. Dla kogożby je zakładano, gdyby ludności polskiej tam nie było?

Nie wiemy, czyśmy zdołali przekonać p. W., że niesłuszny czyni z tego zarzut królowi naszemu, iż myślał o założeniu biskupstw łacińskich na Rusi, ale on ma drugi jeszcze w pogotowiu, t. j. że biskupstwa te udotowane zostały dobrami biskupstw ruskich i że na katedry zabierano cerkwie, albo obracano je na materyał budowlany. Wiemy, że i *Pełesz* (Gesch. I. 416) przytacza dwa podobne fakta i powołuje się przytem na świadectwo *Długosza* pod r. 1375 i 1412. Ten autor więc stawia konkretne twierdzenie, ale świadectwo przytacza mylnie, bo w Długoszu ani słowa o tem nie masz. Natomiast p. W. twierdzi śmiało (str. 15), że takich „faktów historycznych" mógłby sta przytoczyć. Jeśli tak, to proponujemy niniejszem następujący układ: zapłacimy sto złr. za każde sto faktów — historycznie stwierdzonych. Prosimy i czekamy! *(Dok. nast.)*

Ks. Chotkowski.

W KWESTYI RUSKIEJ.

(Dok.) Oprócz szkoły powinni mieć łacinnicy swoje czytelnie, a przynajmniej biblioteczki polskie. Lud nasz coraz więcej garnie się do czytania, należy tedy dawać mu do ręki poczciwe książki, któreby go umoralniały i uświadamiały narodowo. Gdzie są warunki po temu, najlepiej zaprowadzić niedzielną czytelnię, w którejby się zbierali w święta łacinnicy na pogadankę i czytanie pism ludowych, oczywiście pod kierownictwem księdza, nauczyciela lub w ogóle kogoś inteligentniejszego. Gdzieindziej wypadnie ograniczyć się tylko na wypożyczalni książek.

Wielką wagę należy kłaść na dobór dziełek ludowych. Kto rozglądnie się dobrze w naszej tak zwanej literaturze ludowej, zdziwi się niepomału, widząc jak niewiele książek posiadamy takich, któreby były dla naszego ludu odpowiednie. Pomijając już pisma i książki o niezdrowej tendencyi, większa część wydawnictw naszych nie odpowiada treścią, a jeszcze bardziej językiem, potrzebom i rozwinięciu umysłowemu naszego chłopa. Autorowie, zresztą bardzo zacni, piszą nieraz pięknie, nawet za pięknie, ale bez znajomości ludu, zwłaszcza bez znajomości tak zwanej chłopskiej logiki, która jedynie wiejskiemu czytelnikowi trafia do przekonania. Treść książki bywa nieraz zbyt mało interesująca czytelnika, a jeżeli dodamy do tego jeszcze styl zawiły, pełny okresów, naszpikowany zwrotami poetycznymi, uczonymi frazesami, porównaniami i obrazami, wziętymi nie ze sfery wieśniaka, to się nie dziwmy, że chłop takiej książki czytać nie chce albo czyta bez najmniejszej korzyści. Obawiam się, by mnie nie zakrzyczano, ale wyznać muszę, że formą literatura ludowa ruska wyżej stoi od naszej. Formą, mówię, nie treścią, bo treść bywa przeważnie niezdrowa w niektórych wydawnictwach, ale za to co za sposób pisania, jakie przystosowanie się do pojęć, myśli, sposobu argumentowania, słowem do całej sfery czytelnika! Nie dziwię się temu, że chłop ruski, wziąwszy taką książkę do ręki, zaciekawi się nią i zapali; tam wszystko dla niego zrozumiałe, swojskie, jakby z pod serca wyjęte. Jako wzór dla autorów, piszących do ludu, postawiłbym dawny *Dzwonek*, wychodzący we Lwowie, którego stare roczniki jeszcze w czytelniach wiejskich najwięcej są poczytne [1].

Mylą się ci, co sądzą, że lud nasz zechce czytać „Pana Tadeusza" lub literackie rozprawki o Mickiewiczu i Kochanowskim; jego taki temat wcale nie zainteresuje, bo on nie zdaje sobie nawet z tego sprawy, co to jest poeta. Najlepiej nadają się do literatury ludowej temata religijne, opowiadania z biblii, z historyi kościelnej, z żywotów Świętych, dalej powiastki osnute na tle życia rodzinnego lub wiejskiego, ale bez erotyzmu, wreszcie opowiadania historyczne, zaczerpnięte z dziejów naszych jak n. p. obrona Częstochowy, obrona Wiednia, obrazki z wojen tatarskich i kozackich, a najbardziej obrazki prześladowania religijnego w Rosyi. Książki gospodarcze powinny być pisane zajmująco i bez pokostu uczoności t. j. bez wyliczania pierwiastków chemicznych i opisywania sztucznych maszyn.

Czy polityka może być treścią pism ludowych? Lud polski w zachodniej Galicyi potrzebuje już stanowczo gazety, któraby go poczciwie zaznajamiała z bieżącemi sprawami; nasz lud jeszcze politycznie tak nie dojrzał, ale jednak od czasu do czasu pragnie także coś usłyszeć o świecie bożym, o sejmie i parlamencie. Nie należy mu tedy odmawiać i tego pokarmu, byle w miarę i zdrowo, bo niema nic gorszego, jak chłop rozpolitykowany i roznamiętniony.

Tyle o książkach.

Środki dotychczas wyliczone są zapewne skuteczne same w sobie, ale muszą im przyjść z pomocą ludzie dobrej woli, ze zrozumieniem sprawy i poświęceniem. Do tego powołaniśmy wszyscy, każdy w swojem kółku może się stać ogniwem, łączącem naszego chłopa lub mieszczanina łacinnika z resztą polskiego narodu. Trzeba się tylko zbliżać do tego ludu, podnosić go moralnie, żeby zrozumiał, że można być chłopem i Polakiem. Zwłaszcza dwory wraz ze swymi oficyalistami niech wyróżniają łacinników, przemawiając do nich po polsku. W ogóle usilnie wpływać należy na to, by ci, co się zowią Polakami, mówili po polsku w domach swoich i między sobą.

Rozumie się samo przez się, że nie trzeba przesadzać. Trudno żądać, by chłop stary, który nie miał nigdy w użyciu polskiego języka, mówił inaczej jak po rusku i gniewać się za to na niego, że po polsku nie mówi. Jemu to tak ciężko, że spoci się po chwilowej rozmowie polskiej, a na drugi raz będzie unikał takiej czytelni, w której swobodnie wygadać się nie może. Takie postępowanie chybiłoby celu i jeszcze bardziej zniechęciłoby go do polskości Najlepiej tedy zacząć od młodzieży. Ta, zwłaszcza po miasteczkach i wsiach, w których są szkoły polskie, mówi i czyta wcale dobrze i gładko po polsku. Otóż przedewszystkiem trzeba wpływać na tę młodzież i pogadankami i odczytami rozwijać w niej narodowe poczucie, przemówić do ambicyi i związać ich słowem, że między sobą będą tylko po polsku mówili [2]. Z tej młodzieży wyrosną kiedyś ojcowie rodzin, a ci u siebie już bez trudności zaprowadzą język polski.

Jeszcze jeden sposób. W dzisiejszym świecie zmateryalizowanym potrzeba nieraz zaopiekować się ciałem, by trafić do duszy; koniecznie tedy należy roztoczyć opiekę nad ludem polskim także i pod względem materyalnym. Rusini zakładają dla swoich rozmaite stowarzyszenia, torhowle, kasy pożyczkowe; niechże mają podobne i Polacy, by się nie czuli upośledzeni i przekonali się, że będąc Polakami nic nie tracą, owszem zyskują.

Na zakończenie przytoczę jeden przykład z życia narodowego Rusinów, którym *mutatis mutandis* można

[1]) Niedawno założono w naszej dyecezyi sporo biblioteczek pod godłem „Prawdą i pracą"; dobór książek jest w nich dość szczęśliwy.

[2]) Oczywiście w domu muszą się stosować do rodziców.

naśladować z naszej strony. Trafiają się po naszych małych miasteczkach typy patryotów ruskich ze świata prawniczego, którzy może dla zjednania sobie wpływu, a może dla idei stają się bezpłatnymi doradcami ludu we wszystkich kwestyach prawniczych. Taki bezpłatny, a uczciwy doradzca staje się powoli wyrocznią ludu okolicznego, zjednywa sobie wpływ niesłychany i przy danej sposobności może ten wpływ wyzyskać n. p przy wyborach.

Jeszcze jedno słowo do naszych dziennikarzy i publicystów. Dziwna rzecz, jak mało znamy świat ruski, chociaż z nim stykamy się na każdym kroku. Znamy tylko pojedyncze osobistości z codziennych naszych stosunków, a bardzo mało wiemy o całej wielkiej akcyi politycznej i ekonomicznej ruskich partyi, o ich sposobie myślenia, o ich dążeniach, o ich usposobieniu dla nas. Za mało czytamy ruskich gazet; czasem tylko i to przypadkowo enuncyacye ruskie dostają się do szpalt naszych dzienników. Czytamy je z zdziwieniem, nie możemy ich pojąć i uważamy je nieraz za wyjątkowy tylko wyskok szowinizmu ruskiego. Tymczasem dla znających prądy ruskie artykuły takie nie są bynajmniej nowiną, są wypływem ciągłego usposobienia i konsekwentnej polityki ruskiej. Wypada tedy, by nasi panowie dziennikarze, którzy nic nie darują przeróżnym gazetom niemieckim, patrzyli także dobrze na palce ruskich pisarzy i zaznajamiali nas z każdym ważniejszym głosem ruskim, by czytali dokładnie wszystkie ruskie publikacye i pouczali nas o tem, co i jak myślą i piszą nasi najbliżsi sąsiedzi. Mniemam, że wtenczas niejednemu z naszych otwarłyby się oczy, przestałby się łudzić i wziąłby się na prawdę do pracy.

Oto nasz program, nazywam go „naszym“, bo sądzę, że w duchu wielu już czuło i myślało podobnie jak ja. Streszczam go w kilku słowach. Rusini mają już dzisiaj masy ludu, przeważnie świadomego swej narodowości, my mamy jeszcze trochę ludu, ale na pół zruszczonego. Jeżeli chcemy, by się Rusini z nas nie śmiali, gdy im mówimy, że „tu zostaniemy“, to musimy zacząć myśleć o sobie i zabrać się do ludu. Niech każdy Polak w Galicyi wschodniej weźmie się do pracy, każdy w swoim kółku; zejdźmy z areny wielkiej polityki i rozwiązujmy kwestyę ruską nie w sejmie, ani w gazetach, ale po miasteczkach i wsiach. Zamiast gwałtem pracować nad popieraniem Rusinów, uświadamiajmy nasz lud, a gdy się ubezpieczymy sami, wtenczas dopiero bez szkody własnej podamy dłoń życzliwą Rusinom i dopomożemy im do rozwoju. Zmienią się role; nie my ich, ale oni nas szukać będą, bo przecież uczciwsze żywioły nie pójdą ani z moskalofilami, ani z radykałami.

W całym tym programie niema nic groźnego dla Rusinów; jest odporny cały, a nie zaczepny.

U nas wszystko zależy od szczęśliwej chwili, w której ktoś sprawę poruszy. Często hasło mniejszej doniosłości, ale w „szczęśliwą godzinę“ rzucone, elektryzuje społeczeństwo nasze, zjednywa masy zwolenników i zapala do pracy. Dałby Bóg, bym i ja z swoim programem trafił na taką szczęśliwą chwilę; sprawa to dla nas żywotna i czas ostateczny; niechże tedy zajmie należne sobie miejsce obok Cieszyna i Wawelu!

Być może, że się wywiąże polemika, że ktoś wystąpi z innym programem; niech i to będzie, byleby mego głosu, a raczej samej sprawy, nie ubito — milczeniem.

Ale czas już zakończyć te uwagi, które się i tak nadspodziewanie przeciągnęły. Tyle rzeczy miałem na sercu, które mię bolały, że doprawdy musiałem panować nad sobą, by pióra nie zatruć goryczą. Z umysłu omijałem wypadki drażliwsze, starałem się pisać po chrześcijańsku, ale musiałem być sprawiedliwym; niejedną gorzką prawdę powiedziałem Rusinom, ale nie oszczędzałem i swoich. Jeżeli mimo to Rusini będą uważali te uwagi za zbyt wojownicze, to ich proszę niniejszem, by mi z całej nowszej literatury ruskiej, wyjąwszy oczywiście rzeczy pisane przez unitów chełmskich, przytoczyli choćby jedno pismo, któreby tak przedmiotowo traktowało Polaków, jak ja traktowałem Rusinów, a serdecznie ucałuję autora jak brata.

Ks. S.

Pierwszy kongres katolików francuskich.

(Dokończenie).

Kwestya socyalna stanęła na porządku dziennym 24. z. m. Uchwalono:

1. w projektach reformy społecznej dążyć do zgody klas, a troskliwie unikać wszystkiego, co sprowadza rozdwojenie; 2. upraszać dziennikarzy katolickich, aby zaniechali wszelkiej polemiki drażniącej i powstrzymywali się od wycieczek osobistych, gdy bronią — co im wolno — swoich zapatrywań na kwestya społeczną; 3 jeżeli wyłoni się w tej sprawie spór, należy poddać się decyzyi biskupa, który wyda wyrok czy to we własnej osobie czy to przez komisyą w tym celu ustanowioną; 4. byłyby pożądane peryodyczne schadzki upoważnionych przedstawicieli rozmaitych grup, którzyby pod kierunkiem owych komisyi biskupich starali się zbliżyć do siebie umysły, rozprószyć nieporozumienia i układać plany wspólnej akcyi; 5. wreszcie w sprawie instytucyi społecznych, które trzeba powołać do życia, zgodzono się w zupełności na program, uchwalony 5. marca 1896 w Mecheln przez biskupów i delegatów dyecezyalnych belgijskich.

Program belgijski zaś domaga się: zawiązywania i rozwijania stowarzyszeń, przez które zamierza się uzupełniać wychowanie i wykształcenie zawodowe klasy robotniczej, tworzenia towarzystw wzajemnej pomocy i ubezpieczenia na wypadek choroby lub niezdolności do pracy, tudzież zakładania instytucyi, dostarczających robotnikom tanich pomieszkań i umożliwiających nabywanie domów na własność. Wszystkie te dzieła, jakkolwiek z istoty swojej ekonomiczne, muszą także posiadać wybitną cechę religijną. Pracodawcy i zastępcy ich, jakoto: dyrektorowie zakładów przemysłowych, członkowie rad nadzorczych, a nawet akcyonaryusze, winni dbać o polepszenie doli robotników pod względem tak moralnym, jak materyalnym. Pod względem moralnym należy klasie pracującej umożliwiać spełnianie obowiązków religijnych, usuwać sposobności narażające na niebezpieczeństwo wiarę lub obyczaje, wybierać starannie dozorców fabrycznych.

W sekcyi wiary i modlitwy Dr. Rothe, profesor filozofii prawa w Lille, mówił o działaniu społecznem trzeciego zakonu św. Franciszka, a powołując się na słowa Leona XIII. wykazywał, że trzeci zakon ze swoją organizacyą, prostą a silną i ze swoją praktyką cnót chrześcijańskich, a mianowicie wiary, umartwienia i miłości, nadaje się znakomicie na współpracownika w sprawie odrodzenia społecznego.

Msgr. Turinaz, biskup z Nancy, wyraził życzenie, aby kandydatów stanu duchownego przysposabiano praktyczniej do apostolatu społecznego; zdaniem mowcy, byłoby rzeczą stosowną, aby seminarzyści pod nadzorem swych przełożonych nauczali katechizmu i brali udział w życiu stowarzyszeń. Ks. biskup stwierdził, że tak już się dzieje w Nancy. Kongres nie byłby się odważył adresować takiego żądania do episkopatu, przyklasnął jednak całem sercem życzeniu, które wypowiedział biskup.

P. Bechaux mówił o Lille. Miasto to, dotychczas przeważnie reprezentowane przez oportunistów, od maja posiada radę miejską o większości socyalistycznej. Co dokonało wśród wyborców tej ewolucyi? P. Bechaux starał się wyjaśnić to pytanie. Pierwszą przyczyną, mówił, jest istotna nędza pracujących; nieszczęśni, których życie jest twarde, nie umieją się oprzeć ułudnym obietnicom przywódzców socyalistycznych, tembardziej, że zapomnieli o Bogu, a może nigdy go nie poznali, jak należy. Oprócz innych powodów i ta okoliczność ułatwiła socyalistom zwycięstwo w Lille, że przywódzcy stronnictwa wytrwałością swoją i energią zasłużyli sobie, jeżeli tak powiedzieć można, na powodzenie. P. Bechaux skonstatował fakt,

naukę zaś moralną wyprowadził z faktu Msgr. Foucault. Nie obwijając prawdy w bawełnę, ks. biskup z St. Die zaznaczył, że głosiciele przewrotu są prawdziwymi apostołami pod względem odwagi, poświęcenia i pracowitości. „Wstydzić się winni katolicy, że muszą sobie brać socyalistów za przykład. Skoro zaś tak jest, to starajmyż się przynajmniej, ich naśladować“. Burzliwe oklaski towarzyszyły tym słowom. Świadczy to dobrze o duchu, panującym w zgromadzeniu. Daj Boże, aby zachwyt, z jakim słów tych słuchano. nie był przemijający.

Na tem kończymy nasze sprawozdanie. Porównanie kongresu w Reims z wiecami katolików w Niemczech. Austryi lub nawet Galicyi wypada pod pewnymi względami na niekorzyść Francuzów. Udział świeckich był stanowczo za słaby, mowy wygłaszali przeważnie duchowni, ludu w ścisłem znaczeniu słowa wcale nie było, rezolucye są zanadto ogólnikowe. Sprawiedliwość każe jednak uwzględnić tę okoliczność, że wolność zgromadzania się jest we Francyi nierównie więcej ograniczona niż w Niemczech lub Austryi. Zresztą był to debiut pierwszy i nie można wątpić, że następne kongresy będą świetniejsze i praktyczniejsze. Jeżeli wyniki wiecu francuskiego przyszłoby oceniać według pism, nieprzyjaznych Kościołowi, to należałoby przypuścić, że w Reims dokonano pożytecznej pracy, albowiem prasa ateistyczna z prawdziwym szałem przyjęła i opisywała tę nowość w dziejach francuskiego Kościoła. Sprawozdania liberalne i radykalne z Reims noszą tytuł: *Klerykalna wojna*, *Widmo klerykalizmu*, *Klerykalna rewolucya*. Czytamy też zwrot następujący: „dla kardynała i dla czarnych Jezuitów wybiła godzina rewolucyi, datę tego przedsięwzięcia bydlęcego oznaczył Watykan“ i t. d. W słowach tych mieści się więcej bojaźni niż nienawiści. Katolicy francuscy zaczerpną z nich otuchy do dalszej pracy organizacyjnej, przekonawszy się, że mają do czynienia z przeciwnikami o zajęczych sercach.

BIBLIOGRAFIA.

Dr. H. Brück. **Geschichte der katholischen Kirche im XIX. Jahrhundert.** Moguncya 1896. Tomów trzy, str. 5745.

Kanonik i profesor mogunecki, ks. dr. Brück, obrał sobie zarówno piękne jak trudne zadanie, napisać historyą Kościoła katolickiego w XIX. stuleciu. Dotychczas ukazały się trzy tomy, omawiające historyą Kościoła w Niemczech i Austryi; tom pierwszy, wydany w r. 1887, zawiera dzieje po rok 1816, tom drugi, wydany w r. 1889, dzieje po r. 1848, wydany obecnie tom trzeci dzieje po r. 1870. Mimo tę obszerność, sięgającą poza ramy. wydawnictwu pierwotnie zakreślone, przedstawienie rzeczy wydaje się jeszcze za zwięzłe. Ks. Bruck dziełem tem niewątpliwie przysłużył się niemało dobrej sprawie. Szczególnie młodym ludziom, duchownym czy świeckim, zalecić należy studyum wydanego właśnie trzeciego tomu. Wszak człowiek, starzejąc się, żałuje nieraz, że dawniej nie miał nabytego z wiekiem doświadczenia. Otóż studyum czasów najnowszych, od r. 1848 do 1870, młodszym zastąpi poniekąd doświadczenie, którego starsi w życiu nabyli, a nadaje się po temu, bo zawiera materyał obfity i troskliwie dobrany.

W Norwegii i Laponii, przez *O. Marcina Czermińskiego* T. J., Kraków, 1897 w 8-ce, str. 236.

Norwegia i Laponia bardzo mało znane w naszej literaturze. A jednak, czy zwrócimy uwagę na piękność natury tamtejszej, czy na charakter wybitny ludu, czy na przeszłość polityczną i religijną tych krajów, — sądzimy, że bliższe poznanie się z nimi powinno i może zainteresować naszą publiczność czytającą. Należy się przeto szanownemu autorowi (który tyle już pięknych opisał krajów i zapoznał nas bliżej z ich historyczną przeszłością) wdzięczność, że podjął się tej pracy i tak pięknie ze swego wywiązał się zadania.

Korzystając ze znakomitej i bardzo pouczającej pracy O. Baumgartnera („Nordische Fahrten“), świeżo odbytej misyjnej podróży ks. biskupa Fallize, wikaryusza apostolskiego w Norwegii, a także uwzględniając opisy innych, nowszych podróżników, ks. Czermiński stworzył bardzo ładną o Norwegii i Laponii całość, ozdobiwszy ją aż 60 rycinami, po większej części nader udatnemi, przy pomocy których jaśniej sobie wyobrazić możemy piękność opisywanych krajobrazów. Lecz nietylko pod tym względem praca ta na uznanie zupełne zasługuje: Historya tych krajów jest tu dokładnie, niemal wyczerpująco opowiedziana. Temu przedmiotowi poświęca autor trzy pierwsze rozdziały (7—66), a osobno opisowi Laponii rozdział IX. X. i XI. (181—230), w których wiele ciekawych, prawie nowych dowiadujemy się rzeczy o tym tak bardzo północnym kraiku, dokąd rzadko kto ze środkowej przyjeżdża Europy.

Od rozdziału IV. do XI. (66—181) mamy opowiadanie o misyach katolickich w Norwegii, o stanie teraźniejszym Kościoła tam katolickiego, o protestantyzmie norwegskim i dokładny opis ważniejszych miejscowości.

Czyta się to wszystko z wielką przyjemnością i dowiaduje się przy tem mnóstwo nowych szczegółów. Oby też szanowny autor opisał nam w podobny sposób jeszcze i Szwecyą, z którą bliższe za dawnych czasów łączyły nas stosunki.

Wołyniak.

Karol Rawer. **Dzieje ojczyste dla młodzieży.** Cena egz. opr. 1 złr. Lwów 1895.

Książka to przeznaczona w pierwszym rzędzie do nauki szkolnej. Autor jej, pracując przez długi szereg lat z poświęceniem i miłością nad młodem pokoleniem, poznał gruntownie naszą młodzież szkolną; wie, czego ona potrzebuje, co lubi, w jaką strunę jej serca uderzyć, by w niem rozniecić szlachetne a trwałe uczucia.

Wsparty więc długoletniem doświadczeniem, zabrał się do napisania „Dziejów ojczystych dla młodzieży“. Zdając sprawę z tej pracy, zaznaczymy zaraz na początku, co się zwykle przy końcu pisze, że dziełko posiada wszystkie przymioty należycie obmyślanego podręcznika szkolnego. Wybór i rozkład przedmiotu szczęśliwy; nic nie opuszczono z ważniejszych faktów historycznych, o ile na to pozwalały szczupłe ramy podręcznika, ale też niema rzeczy niepotrzebnych, któreby szkolną książkę czyniły ciężką, zawiłą i niezrozumiałą. Opowiadanie wszędzie proste a żywe, często nawet obrazowe; czytelnik uczy się tu patrzeć zdrowo a miłośnie na dzieje nasze, rozumieć i odczuwać ważniejsze wypadki naszej przeszłości. Krótkie życiorysy sławnych Polaków, które w ciągu opowiadania spotykamy, nakreślone ciepło i ze szczerym pietyzmem n. p. Żywot Stefana Czarneckiego; nadają one książce wiele uroku a czytelnikowi dostarczają żywych przykładów miłości Boga i Ojczyzny, temsamem zaś wymowną są zachętą do cnoty i poświęcenia.

Widać, że autor, zanim rzecz podał do druku, rozważył każdy ustęp, więcej powiemy, każde zdanie i słowo. Przeto też całość wypadła pod każdym względem wzorowo i sympatycznie Ze szczególniejszem jednakowoż uznaniem musimy podnieść tę wielką zaletę dzieła, że z każdej jego kartki wieje duch szczerze katolicki. Często mówimy o przywiązaniu Polaków do wiary katolickiej, szczycimy się walkami, które staczali nasi przodkowie w obronie wiary, wspominamy z uczuciem dumy, że Polska była przedmurzem chrześcijaństwa. Wszystko to prawdziwe i słuszne. Ale jakżeż to pojmuje zazwyczaj nasza młodzież? Pod wrażeniem pięknych słów wyrabia sobie jakieś oderwane pojęcie o powinnościach względem wiary, zawieszone gdzieś wysoko w sferach bohaterskich poświęceń; gotowa ona w swym młodzieńczym zapale pójść choćby zaraz na bój w obronie „Wiary i Ojczyzny“, ale że do tego dziś niema sposobności, więc na tych uniesieniach kończy przywiązanie do wiary. Na to, że nasi bohaterowie i obrońcy wiary i ojczyzny byli praktykującymi katolikami, nie zwraca się uwagi przy wykładzie historyi polskiej. Wielka stąd szkoda dla samego zrozumienia przedmiotu. Polacy składali niegdyś na ołtarzu wiary życie i mienie; ale dlaczego? Logiczne rozwiązanie tej kwestyi znaleść możemy jedynie w tej odpowiedzi: bo byli w życiu codziennem przez pobożne spełnianie przepisów wiary najściślej z nią połączeni, kochali ją całem sercem, to też, gdy przyszła potrzeba, wybuchał z tych serc, zupełnie Bogu oddanych, płomień bohaterskiego poświęcenia w obronie Jego świętej wiary.

Nie pominął tak ważnego momentu autor w swojej książce. Wyraźnie i z naciskiem opowiada o naszych bohaterach, że się gorąco modlili, że mszy św. nabożnie słuchali, że do spowiedzi i komunii św. przystępowali, że umierali zaopatrzeni św. Sakramentami. Młodziez, ucząc się tego, zrozumie, jak potrzeba oceniać wiarę dawnych Polaków i pozna, że należy wzorem przodków modlić się, słuchać mszy św., spowiadać się, do komunii św. godnie przystępować, spełniać na każdy dzień swoje obowiązki w duchu wiary. Aby być dobrym katolikiem i Polakiem, tego potrzeba i to zazwyczaj wystarczy, bo ofiary życia w obronie wiary nie w każdym czasie i nie od wszystkich Pan Bóg żąda. Wyjątkowa to próba i szczególna łaska Boża!

Spodziewamy się, że nowy ten podręcznik chętnie nasza młodzież przyjęła i że z niego wiele się nauczy. Daj Boże, by się przejęła pięknemi zasadami, jakie w nim tak hojnie są rozsiane!

Z naszej strony zwracamy uwagę braci-kapłanów na tę cenną książkę. Nadaje się ona bardzo do bibliotek parafialnych lub na premie dla młodzieży. Nie droga, a budująca jak rzadko; rozszerzając ją między ludem, wskażemy mu pewne źródło zdrowej nauki i pouczającej rozrywki.

Ks. F. M.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. W dniu 30. z. m. kardynał Gustaw Adolf ks. Hohenlohe-Schillingsfürst zmarł nagle w skutek udaru serca. Urodzony 26. lutego 1823 w Rotenburgu, liczył obecnie 74-ty rok życia. Po ukończeniu szkół średnich w Ansbach i Erfurcie uczęszczał na wydział prawniczy w Bonn, później zaś na teologiczny w Wrocławiu i Monachium. W jesieni 1846 udał się do Rzymu, w r. 1847 wstąpił do *Academia ecclesiastica*, a w r. 1849 w Gaeta otrzymał święcenia kapłańskie. Papież Pius IX. zamianował go tajnym podkomorzym, później biskupem Edessy a w r. 1866 kardynałem. Po zajęciu Rzymu przez wojska włoskie kardynał otrzymał urlop i bawił w Niemczech przez lat kilka. W lutym 1876 powrócił do Rzymu; w maju 1879 został biskupem w Albano. Zmarły był bratem kanclerza niemieckiego, ks. Klodwika i zmarłego wielkiego ochmistrza, ks. Konstantyna. W poniedziałek 26. z. m. przyjąwszy ostatnie sakramenta w Tivoli, kazał się zawieść do Rzymu i tutaj w piątek rano po spokojnie spędzonej nocy zakończył życie.

— Ojciec św. zamianował Msgr. Eugeniusza Clari, biskupa w Viterbo i Toscanelli, nuncyuszem apostolskim w Paryżu, a prałata Franciszka Tarnasiego, podsekretarza kongregacyi *pro negotiis ecclesiasticis extraordinariis* internuncyuszem apostolskim w Hollandyi i Luksenburgu.

Galicya. Z Kęt wyjeżdżają w tych dniach trzy zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstania P. pod przewodnictwem przełożonej głównej, M. Celiny Borzęckiej, na misya do Bułgaryi, a mianowicie do Małej Tyrnowy. Siostry te są: S. Kazimira Szydzik, S. Stefania Strzałkowska i S. Walerya Marcinkowska. Pierwsze to są Polki, co się puszczają na misya i to w tak niepewnych czasach — do Turcyi.

Węgry. Z okazyi wyborów *Alkotmany*, organ stronnictwa ludowego, zamieszcza odezwę do zagranicy. Początek jej brzmi: „Narody europejskie, teraz patrzcie na Węgry! Teraz przyjdźcie do nas wy wszyscy, którzyście w lecie podziwiali świetność naszych uroczystości milenarnych i w ojczyźnie naszej wielbili „kraj wolności". Przyjdźcie do nas i przekonajcie się własnemi oczyma, jak wygląda zbliska — w czasie wyborów — ta nasza słynna wolność, którą się tak zachwycaliście". W istocie presya organów rządowych na wyborców doszła do niebywałych rozmiarów. Aż od nas ściągano wojsko, aby ukrócić wrzekome nadużycia katolickiego stronnictwa. Urzędowe biuro korespondencyjne głosiło światu, że członkowie stronnictwa ludowego to sami burzyciele, a najgorszymi z nich księża. Pod osłoną bagnetów i przez żandarmów prowadzeni wyborcy węgierscy „dobrowolnie" oddawali głosy na kandydatów partyi liberalnej, których aż 270 weszło do izby. Stronnictwo ludowe przeprowadziło wybór 21 kandydatów, podczas gdy w izbie poprzedniej miało tylko 2 reprezentantów.

Niemcy. Eisenach, równie jak Wittenberg, sławę swą zawdzięcza Lutrowi Jestto miasto drogie uczniom wielkiego „reformatora". Oto dlaczego pewna ich liczba zebrała się tam w październiku, aby zaczerpnąć ze źródła, a przynajmniej z jednego ze źródeł „czystej ewangelii". Było ich ze stu. Nie takie to świetne pod względem ilości, ale za to jakość nie pozostawiała nic do życzenia. Szesnastu profesorów teologii z różnych uniwersytetów, sześćdziesięciu pastorów, a między nimi nie mało superintendentów i członków konsystorzy, wreszcie naczelnicy różnych instytutów, czy tego nie dosyć? Powiedzielismy: uczniowie Lutra. Zapewne Luter wzdragałby się uznać ich za swoich adeptów. Niesłusznie, co prawda. Bo jeżeli ci panowie porzucają literę jego nauki, to pozostali wierni jego metodzie, z tą chyba różnicą, że posługują się nią bardziej logicznie. Byli to sami protestanci liberalni, zwani tak dlatego, że liberalnie przyznają sobie prawo, tkwiące w swobodnem badaniu, wierzenia co chcą, t. zn. niewierzenia w nic, jeżeli tak się podoba. Doprowadza to do rozpaczy protestantów twardych. Ale liberalni nie dbają o zmartwienie nominalnych swych braci i myślą: *Amicus Plato, magis amica... libertas!*

Na czele członków konferencyi w Eisenach znaleźli się dwaj profesorowie, Kaftan i Harnack, uczniowie Ritschla, gorliwi obrońcy wolności nauki, autoryzowani reprezentanci nowego kierunku teologii protestanckiej.

Profesor Kaftan mówił o Logos, Słowie, o boskości Chrystusa. Naturalnie, odrzuca boskość, tak jak przeczy Trójcy, szczególny ten profesor teologii, powołany do kształcenia przyszłych pastorów ewangelickich. W dogmatach tych widzi pierwiastki panteizmu.

Profesor Harnack omawiał aktualną sytuacyą protestantyzmu. Według niego rozmaite kościoły krajowe okazują żywą tendencyą ku katolicyzmowi. Dowód tego faktu upatrywa w chęci ustalenia jądra nauki, nieulegającej zmianie, w żądaniu wolności Koscioła, w dążeniu do ustanowienia hierarchii, w używaniu słów: „papież, naczynia święte" i t. d. Profesor Harnack nie wróży nic dobrego temu ruchowi, który równałby się ponownemu upadkowi w „niskie sfery", z których protestantyzm zdołał się wydobyć. — Nie czując się zdolnym do sformułowania nauki pozytywnej, Harnack w braku czego lepszego radzi uczyć lud na dziełach Goethego i Herdera (Sic!).

Mowy obu koryfeuszów protestanckiego liberalizmu były przedmiotem długich dyskusyi, nie doprowadziły jednak do innego wyniku, jak do stwierdzenia, że porozumienie się uczniom Lutra jest niemożliwe. Zapewne nic to nowego, ale nie zawadzi stwierdzić ten fakt raz jeszcze.

Ciekawe są głosy obozu ortodoksyjnego w tej kwestyi. „Jeżeli się pomyśli, woła *Reichsbote*, że otrzymujemy pastorów ze szkoły, gdzie ci teologowie uczą, trzebaby zaiste drżeć o nasz kościół ewangelicki, gdyby się nie wiedziało, że założyciel Kościoła przyrzekł, iż bramy piekielne go nie zwyciężą". Któżby spodziewał się, że obietnica Chrystusa ma się odnosić do dzieła Lutra, Kalwina i Zwinglego? A dlaczegoż nie odnosiłaby się równie dobrze do kościołów Ritschla, Kaftana albo Harnacka? Czyżby „prawowierni" Luteranie naprawdę mniemali, iż Chrystus ich kościół miał na myśli, a nie inny kościół protestancki? Już początek ten godzien śmiechu, ale to, co następuje, jest jeszcze lepsze. *Reichsbote* nie waha się żądać formalnego wykluczenia teologii liberalnej i jej nauczycieli lub głosicieli z kościoła ewangelickiego. Inaczej mówiąc, organ ortodoksyjny wyrzeka ekskomunikę na heterodoksów. „Nie masz dla nich miejsca, woła, w kościele ewangelickim". Oto, dokąd protestanci doszli. Z jednej strony negacya, destrukcya pierwszych i zasadniczych prawd chrześciańskich wraz z Trójcą i Boskością Chrystusa; z drugiej powrót do sposobów i środków, tylekroć przez protestantyzm potępianych pod pozorem, że są katolickie! Czyż to nie zupełny rozkład w łonie kościoła, założonego przez męża z Wittembergi i Eisenach?

— Niemieckie Piekary. 27. lipca następnego roku upłynie 200 lat od przejścia Augusta Mocnego na katolicyzm. Aktu tego dokonał król w Niemieckich Piekarach, gdy udając się do Polski, tam chwilowo bawił. Ks. Maksymilian saski, nie-

dawno wyświęcony, przyrzekł, że przybędzie do Piekar na uroczystość jubileuszową. Król Albert Saski zaś dla uczczenia pamiętnej rocznicy przesłał proboszczowi Nerlichowi 1000 marek na odnowienie drogi krzyżowej.

Anglia. Londyn. W czasopiśmie anglikańskiem *Church Intelligencer* opisuje jeden ze współpracowników kościół parafialny w Hensall, który odwiedził 28. sierpnia. Z opisu tego widać, że w Hensall anglikanie gorliwie starają się być katolikami o tyle, ile to się da bez uznania papieża głową Kościoła. Przy wejściu do świątyni spostrzega się w pobliżu drzwi kropielnicę ze święconą wodą. Aby pobożni poznali znaczenie wody święconej, umieszczono nad kropielnicą napis w słowach dobrze znanych katolikom: „Omyjesz mię, a będę nad śnieg wybielony“ (Ps. 50). Naprzeciw portalu odgraniczono część przestrzeni i pomieszczono w niej — konfesyonał. Wzdłuż ściany północnej i południowej rozwieszono stacye drogi krzyżowej. Na jednym z ołtarzy znajduje się statua św. Józefa, na drugim obraz najświętszej Panny z Dzieciątkiem, przed trzecim płonie „wieczna lampa“. Oczywiście niema tabernaculum z Przenajświętszym Sakramentem, któryby lampie nadał właściwe znaczenie. Natomiast chlubią się wierni w Hensall posiadaniem relikwii krzyża św., które jeszcze za czasów papistycznych jakiś Cysters z Jerozolimy miał przywieść. Pomiędzy książkami, które dla użytku wiernych umieszczono po ławkach, uderza szczególnie jedna, nosząca tytuł: *The Catholics Vade mecum.* Książkę tę wydała katolicka firma Burns i Oates w Londynie. Anglikanie mają dosyć własnych modlitewników, widocznie jednak więcej podobają się im książki katolickie. — Na szczere politowanie zasługują ci biedni ludzie, bo dążąc do zbawienia, stają w pół drogi. Wszelkie zbliżanie się do katolicyzmu jest bezowocne, dopóki brakuje rzeczy głównej, to znaczy: pokornego poddania się władzy kościelnej. Bez tej *captivatio intellectus in obsequium Christi* katolicyzowanie nabożeństwa to wieczna lampa — [illegible]

Cieszyć się przeto wypada, że z Anglii raz po raz donoszą o całkowitych nawróceniach. I tak w ostatnich czasach Miss A. Butterly, znakomita nauczycielka w Stondon, przyjęła katolicyzm. Komisya szkolna wezwała ją z tego powodu, aby się podała do dymisyi, bo w przeciwnym razie będzie bez świadectwa zwolniona od obowiązków. Na tę groźbę Miss Butterly dała odpowiedź, że religii swej nie porzuci dla posady, a za radą protestanckiego stowarzyszenia nauczycielskiego odmówiła żądaniu dymisyi. W skutek tego wydalono ją ze służby.

Anglikański proboszcz w Grainsby i Waythe, Lloyd Tomasz, poważany i lubiony w swojej gminie, przyjął również religię katolicką wraz z żoną i sześciorgiem dzieci. W skutek tego stracił posadę, przynoszącą 8000 marek i nie ma żadnych środków utrzymania. *Catholic Times* wzywa swych czytelników do wyjednania mu stosownej posady, co nie powinno nastręczać trudności, bo konwertyta jest dzielnym filologiem.

Francya. W Paryżu zmarł 7. b. m. ks. Maurycy Lesage d'Haute-Roche d'Hulst, wybitny przedstawiciel katolickiej nauki. Pochodził ze starożytnego rodu, który dał Kościołowi papieża Urbana V. Mgr. d'Hulst urodził się w Paryżu 1841. Wyświęcony na kapłana 1865, po krótkim pobycie w Rzymie pełnił funkcye wikaryusza w Belleville, przedmieściu Paryża. W r. 1875 kardynał Guibert mianował go swym wikaryuszem generalnym. Gdy za przyzwoleniem rządowem poczęto tworzyć „wolne“, t. zn. katolickie szkoły wyższe, ks. d'Hulst został rektorem paryskiego uniwersytetu wolnego, który później — wskutek nowej uchwały parlamentu — musiał poprzestać na tytule „instytutu“. Choć obarczony licznymi obowiązkami swego urzędu, nie wymówił się od głoszenia kazań w kościele Notre-Dame po ustąpieniu O. Monsabré w r. 1890; na ambonę wniósł rodzaj wymowy, odmienny od słynnego dominikanina, lecz nie gorszy; głównie zwracał się do rozumu i wywierał silny wpływ na ludzi, zdolnych myślenia a lubujących się w ścisłej argumentacyi.

Węzłami przyjaźni związany z rojalistami i sam rojalista, natychmiast szczerze pojednał się z rządem republikańskim, skoro papież wypowiedział w tej mierze swą wolę. W r. 1892 wybrany posłem do parlamentu, pożytecznie spełniał i tutaj powierzone sobie zadanie. Zabierał głos, ilekroć na porządku dziennym stanęły przedmioty dotyczące religii i odważnie bronił praw Kościoła. Z chłodną a nieubłaganą logiką rozbierał tezy przeciwników i wykazywał ich nicość w sposób, niedopuszczający repliki, a przez to dawał mniejszości katolickiej i konserwatywnej wewnętrzne zadowolenie, płynące z tego przeświadczenia, że się stoi na gruncie prawdy i sprawiedliwości. Ostatnie Sakramenta przyjął zmarły z rąk kardynała Richard, który, dowiedziawszy się o groźnym przebiegu choroby, przybył do ks. d'Hulst i nie odstąpił go aż do zawarcia powiek.

Bombaj. Na ręce Msgr. Zaleskiego nadeszły dnia 8. września dokumenta papieskie, mocą których Indye przedgangesowe, o ile zamieszkują je chrześcijanie syro-malabarskiego rytu, zostały podzielone na 3 apostolskie wikaryaty. Na czele tych wikaryatów postawiono trzech kapłanów krajowców. Zdarza się to w Indyach po raz pierwszy, że krajowcy otrzymali sakrę i jurysdykcyę biskupią.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska obrz. łać.

Adminstratorem osieroconej parafii w Nawaryi ustanowiony został ks. Romański Stefan, kooperatorem administ. w Delatynie ks. Trzebunia Tomasz.

Przeniesieni księża wikaryusze: Gawrzyński Józef z Gołogór do Kołomyi, Świderski Stanisław, admin. z Cieszanowa do Gołogór.

Jurysdykcyą otrzymali: ks. Fijałek Jan, nadzwyczajny profesor przy c. k. lwowskim Uniwersytecie i O. Mieloch Stanisław, T. J. w Tarnopolu.

Konkurs na probostwo w Nawaryi ogłoszony został z terminem do końca grudnia 1896 r.

Dyecezya tarnowska.

Zamianowani: ks. Jan Markiewicz, proboszcz w Korzennej, wice-dziekanem, ks. Jacek Michalik, proboszcz w Ciężkowicach, notaryuszem w dekanacie bobowskim.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z Drukarni W. Łozińskiego.